

NIKODEM CHINOWSKI

# MISTRZOWSKIE ROZMOWY

BIAŁO-CZERWONI MUNDIALIŚCI



STREJLAU • GORGON • MASZTALER • KASPERCZAK • PAŁASZ • MAJEWSKI • PRZYBYŚ • DZIEKANOWSKI  
LISTKIEWICZ • ŻEWŁAKOW • SIBIK • ŚWIERCZEWSKI • BOSACKI • BAŃ • ROLA-WAWRZECKI



Copyright © by Nikodem Chinowski, 2018

Redakcja: Jan Wasiński  
Korekta: Małgorzata Denys

Ilustracje: Michał Nassius  
Wykorzystano zdjęcia pochodzące  
ze zbiorów Polskiej Agencji Prasowej.

Projekt okładki: Michał Nassius  
Projekt makiety i skład: Filip Chmielewski

Druk i oprawa: Drukarnia im. Adama Półtawskiego

Wydanie I  
Warszawa 2018

Wydawnictwo Magnus  
Seria wydawnicza: Ciepło/Zimno  
cieplo-zimno.pl

ISBN: 978-83-950536-4-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Rodzicom

- za zaciekawienie mnie światem.

# SPIIS TREŚCI

Damian Bednarz

Andrzej Streljau

Jerzy Gorgoń

Bohdan Masztaler

Henryk Kasperczak

Andrzej Pałasz

Stefan Majewski

Kazimierz Przybyś

Dariusz Dziekanowski

Michał Listkiewicz

Marcin Żewłakow

Paweł Sibik

Piotr Świerczewski

Bartosz Bosacki

Jacek Bąk

Krzysztof Rola-Wawrzecki

DAMIAN  
**BEDNARZ**  
**1938**  
**FRANCJA**

Co bogatsi sympatycy futbolu mogli wyjechać do Strasburga razem z drużyną, a koszt takiej ekskursji wynosił 199 złotych. Aby obejrzeć na żywo cztery gole Wilimowskiego, trzeba było niemałego poświęcenia finansowego.

\* D. BEDNARZ, REDAKTOR NACZELNY PORTALU RETRO FUTBOL.  
NA ZDJĘCIU: E. WILIMOWSKI.



# LEPSZY NYTZ NIŻ NIC

**Damian Bednarz**

(rocznik 1990)

Dziennikarz sportowy, piłkarski romantyk; redaktor naczelny portalu Retro Futbol, poświęconego historii piłki nożnej.

[Kup księ](#) [k](#)

***Podjedźmy do tej rozmowy chronologicznie. Po nieudanych kwalifikacjach do czempionatu we Włoszech z roku trzydziestego czwartego – gdy już po pierwszym meczu z Czechosłowacją nasz związek piłkarski wycofał drużynę – w trzydziestym siódmym znów zapisaliśmy się do gry o historyczny udział w mistrzostwach świata. Razem z nami akces zgłosiło trzydzieści siedem innych drużyn narodowych. Jak wyglądały kwalifikacje?***

Z tej trzydziestki siódemki do meczów kwalifikacyjnych przystąpiły tylko trzydzieści cztery kraje. Hiszpania została wykluczona ze względu na wojnę domową, natomiast Argentyna i Urugwaj same się wycofały, niejako bojkotując wybór Francji na gospodarza turnieju. O prawo goszczenia najlepszych drużyn krajowych rywalizowały wtedy trzy kraje – oprócz Francji także Argentyna i Niemcy. Dziewiętnaście głosów padło na Francję, cztery na Argentynę i zero na Niemców. FIFA zrzeszała w tym czasie pięćdziesiąt siedem krajowych związków, z czego zdecydowaną większość z Europy, i oczywistością było, że nikt z Europejczyków nie ma ochoty na czasochłonną i kosztowną podróż do Ameryki Południowej. Podobnie pomyśleli decydenci argentyńscy i urugwajscy, więc po ogłoszeniu decyzji wycofali swoje ekipy z kwalifikacji. Ostatecznie do zespołów Francji i Włoch – które po raz

pierwszy skorzystały wtedy z zasady, że gospodarz i obrońca tytułu mają gwarantowany udział w turnieju – po eliminacjach dołączyło jeszcze jedenaście drużyn z Europy, dwie z Ameryk oraz jedna z Azji.

W strefie europejskiej w kwalifikacjach wzięły udział takie związki piłkarskie jak Egipt i Palestyna. Choć określenie „wziąć udział” w przypadku Egiptu jest nieprecyzyjne – po wylosowaniu Rumunów jako rywali władze egipskie stwierdziły, że nie mogą z nimi zagrać w grudniu, bo wtedy obchodzą ramadan. FIFA może i uwzględniłaby ten argument, ale w tym samym czasie Egipt zagrał mecz pokazowy z drużyną First Vienna FC, więc FIFA przestała się z nimi cackać i po prostu wykluczyła ich z kwalifikacji. Takich osobliwości było więcej. Kuba dostała prawo gry we Francji, bo wszyscy jej rywale kontynentalni się wycofali. To samo w przypadku Brazylii, która za rywala miała mieć wcześniej wspomnianą Argentynę. Podobnie było w Azji – na turniej oddelegowana została drużyna Holenderskich Indii Wschodnich, bo jej jedyny rywal, Japonia, też powiedział „pas”. Mieliśmy więc drużyny, które weszły do finałów bez choćby jednego meczu kwalifikacyjnego, a z drugiej strony takich Niemców, którzy grali o awans w czterozespołowej grupie. W sumie zagrano na całym

świecie zaledwie dwadzieścia dwa mecze kwalifikacyjne, z czego aż sześć w tej grupie niemieckiej.

***Powiedziałeś „Niemcy”, tymczasem w polskiej Wikipedii w odniesieniu do tego mundialu używa się terminu „Trzecia Rzesza”, a także – w przypadku Polski – nazwy „Druga Rzeczpospolita”.***

To dość istotna zagadka, na którą niestety nie do końca znam odpowiedź. Wikipedia nie jest jedyna, bo w wielu dzisiejszych źródłach ówczesna reprezentacja Niemiec określana jest jako „drużyna Trzeciej Rzeszy”. Natomiast ówczesna prasa polska tamtą drużynę określała po prostu jako „Niemcy” – i tej wersji chciałbym się trzymać. Podobnie jest zresztą w przypadku naszej reprezentacji. Dziś możemy spotkać określenia, że w trzydziestym ósmym była to „drużyna Drugiej Rzeczpospolitej”, natomiast wtedy, jak wynika z archiwalnych źródeł, dla polskiej prasy była to po prostu „Polska”, dla francuskiej „Pologne”, a dla brytyjskiej „Poland”. Dzisiejszej drużyny Adama Nawałki nie nazywamy przecież „Trzecią Rzeczpospolitą”. Dlatego w tych przypadkach wolę swoje nazewnictwo, czyli pospolitą nazwę kraju. Być może wielcy historycy futbolu nie będą chcieli się zgodzić z takim podejściem,



ale może to i dobrze – świat jest dużo bardziej kolorowy, gdy nie wszyscy mamy takie samo zdanie.

***Polska, aby uzyskać przywilej gry na francuskich mistrzostwach, musiała wyeliminować bardzo poważnego rywala, Jugosławię.***

Kiedy w eliminacjach do mistrzostw świata 1938 roku we Francji reprezentacja Polski trafiła na Jugosławię, nastroje w naszym obozie nie były najlepsze. Wszyscy doskonale pamiętali lanie, jakie otrzymaliśmy od tego zespołu w trzydziestym szóstym. Warto przypomnieć, że Jugosłowianie wygrali wtedy w Belgradzie z naszą reprezentacją aż 9:3. Trzeba też pamiętać, że oni grali już na turnieju rangi mistrzowskiej w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, i to z powodzeniem – odpadli tam przecież dopiero w półfinale po porażce z późniejszym mistrzem z Urugwaju, a w fazie grupowej byli lepsi od wielkich Brazylijczyków, pokonując ich 2:1. A wiadomo, że jeśli jakaś drużyna pokonuje Brazylię na turnieju o mistrzostwo świata, to trzeba ją traktować poważnie, bo nie są to – jak dziś byśmy powiedzieli – ogórki. Okazało się jednak, że te wszystkie obawy były niesłuszne i już pierwszy mecz praktycznie zdecydował o tym, że do Francji pojedzie Polska.

Mecz rozegrano 10 października 1937 roku na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie. Spotkanie na żywo oglądało dwadzieścia tysięcy ludzi. Polacy zdecydowanie w tym meczu dominowali i odprawili rywala z wynikiem 4:0, choć „Przegląd Sportowy” relacjonował, że najbardziej sprawiedliwym wynikiem byłoby 6:0. Strzelanie rozpoczął już w drugiej minucie gry Leonard Piątek z AKS Chorzów, ligowego przeciętniaka. Tegoż Piątka śmiało możemy nazwać bohaterem tamtego meczu, ponieważ jeszcze w pierwszej połowie zdobył drugiego gola. Ówczesny wicekról strzelców pierwszej ligi spisał się więc na medal. Bramkę strzelił także jego klubowy kolega Jerzy Wostal, a na 4:0 podwyższył niezawodny Ernest Wilimowski z innej chorzowskiej drużyny, Ruchu.

Co ciekawe, tego samego dnia przewidziano mecz „kadry B” – w Katowicach nasz drugi garnitur pokonał 2:1 grającą w najsilniejszym zestawieniu Łotwę. I te dwa wyniki wprawiły w euforię prasę i kibiców futbolowych w Polsce, którzy wieszczili ustabilizowanie naszej pozycji wśród europejskich potęg.

### ***Czyli czuliśmy się mocni?***

Po meczu w Warszawie „Przegląd Sportowy” przeprowadził ciekawy wywiad z ówczesnym prezesem

Polskiego Związku Piłki Nożnej, pułkownikiem Kazimierzem Glabiszem. Ten chwalił wszystkich naszych reprezentantów z wyjątkiem Bolesława Habowskiego, zawodnika krakowskiej Wisły. Niestety nie wyjaśnił, skąd wzięła się ta krytyka. Co ciekawe, mecz eliminacyjny nie był wtedy nazywany eliminacyjnym, ale „o mistrzostwo świata”. Dzisiejszy kibic nieźle zdziwiłby się, czytając takie słowa. Zachwycony naszą postawą na boisku był także kapitan związkowy Józef Kałuża. To ten, którego imię obecnie nosi stadion Cracovii.

### **Cóż to za funkcja, „kapitan związkowy”?**

Kapitan związkowy to po prostu selekcjoner. Po meczu Kałuża chwalił podopiecznych za to, że wykonali swoje zadania w stu procentach. Trudno się zresztą dziwić tej ocenie po takim wyniku. Fajne słowa padły również z ust kapitana związkowego Jugosławii: pan Svetozar Popović powiedział, że sędzia zawodów był słaby, ale nie wpłynął na wynik meczu. Taki wczesny José Mourinho (śmiech). Nasi rywale przyznawali również, że bardzo liczyli na awans do mistrzostw świata; porażka całkiem ich zaskoczyła, a samego Wilimowskiego określili piłkarzem wybitnym. Polaków komplementował też francuski sędzia tego spotkania, który docenił progres naszej reprezentacji.

## **Rozumiem, że wszyscy w kraju traktowali rewanż jako formalność?**

Niespecjalnie. Pomimo wysokiego zwycięstwa w pierwszym meczu nastroje przed rewanżem były mieszane. „Przegląd Sportowy” alarmował, że formie naszych piłkarzy daleko do ideału, ale i uspokajał, że nie powinno być to aż tak wielką przeszkodą w drodze do awansu. I właśnie prasa tonowała te nastroje, a kibice je zaogniali. Można powiedzieć, sytuacja niespotykana w dzisiejszych czasach; z reguły jest odwrotnie i to prasa podgrzewa atmosferę.

Polacy do ostatnich chwil nie potrafili przewidzieć składu drużyny rywala, bo Jugosłowianie nieźle się kamuflowali. Wiadomo, że były to zamierzchłe czasy, futbolowa siatka szpiegowska nie była tak rozwinięta jak dzisiaj, więc nasi mogli czuć pewien dyskomfort z powodu niedostatecznej znajomości zespołu z Bałkanów. Zresztą od meczu w Warszawie w październiku trzydziestego siódmego roku do rewanżu w kwietniu trzydziestego ósmego Jugosłowianie rozegrali tylko jeden mecz, z Rapidem Wiedeń. Natomiast nasi w marcu trzydziestego ósmego zremisowali na wyjeździe ze Szwajcarią 3:3 i ten wynik także martwił opinię publiczną.

**W BRAMCE ADOLFA KRZYKA  
ZASTĄPIŁ EDWARD MADEJSKI,  
KTÓRY BRONIŁ W TYM FATALNYM,  
PRZEGRANYM AŻ 3:9 MECZU  
Z JUGOSŁAWIĄ W TRZYDZIESTYM  
SZÓSTYM.**

## ***Jugosłowianie wierzyli w odrobienie strat?***

Oceniając po zainteresowaniu samym meczem – tak. W Belgradzie oprócz przeciwnika nasi piłkarze musieli się bowiem zmierzyć także z dwudziestopięciotysięcznym rozentuzjasmowanym tłumem, a wszyscy wiemy, jak w tej części Europy wygląda, czy raczej jak brzmi doping. Jeśli chodzi o Polaków, zainteresowanie tym meczem było w Polsce olbrzymie, ale oczywiście tylko nieliczna delegacja mogła obejrzeć ten spektakl na żywo. Reszcie rodaków pozostał przekaz radiowy. Były w dziejach ludzkości czasy, gdy streaming internetowy w wersji HD jeszcze nie istniał (śmiech).

## ***Wyszliśmy tym samym składem co w pierwszym meczu w Warszawie?***

W bramce Adolfa Krzyka zastąpił Edward Madejski, który bronił w tym fatalnym, przegranym aż 3:9 meczu z Jugosławią w trzydziestym szóstym. Nie zagrał też Habowski, a jego miejsce zajął Ryszard Piec. Naszą słabość widziano w pomocy, głównie w osobie Ewalda Dytko. Polacy wielkie nadzieje pokładali natomiast w parze stoperów Władysław Szczepaniak – Antoni Gałęcki; w takim zestawieniu obrony kadra nie przegrała dotąd

ani jednego meczu i liczono, że to właśnie ten monolit zatrzyma szybkie ataki rywala. I po części się nie prze-liczono. Tamto spotkanie mogłoby przypaść do gustu największemu zwolennikowi parkowania autobusu w bramce, jakiego znam, czyli José Mourinho. Chociaż Polacy byli w głębokiej defensywie, kontrolowali przebieg gry. Wiadomo było, że to rywal musi strzelać bramki, więc nasi nastawili się na kontrataki i szybkie wypady, które co prawda nie przyniosły gola, jednak musiały być brane pod uwagę przez rywala, który przez to nie mógł rzucić na naszych całej swojej siły. Dobrze bronił też Madejski, który przegnał koszmary z trzydziestego szóstego. Jedna bramka zdobyta przez rywala nie mogła zachwiać pewnością siebie naszej drużyny, a porażka 0:1 okazała się zwycięstwem.

O tym wyniku pułkownik Glabisz dowiedział się w Zakopanem, gdzie wyjechał na narty... Prezes PZPN w trakcie kluczowego meczu eliminacyjnego kadry narodowej odpoczywa na wakacjach, zamiast wspierać swoją drużynę – niespotykane, prawda? Swoją drogą bardzo ciekawe, że na początku kwietnia można było w Zakopcu pojeździć na nartach (śmiech). W takich oto okolicznościach Polacy wywalczyli historyczny, bo pierwszy awans na turniej o mistrzostwo świata. Później się okazało, że na

samym awansie to pisanie historii się nie kończy, a udział Polski przejdzie wręcz do historii globalnej. Mam tu na myśli wyczyn Wilimowskiego, którego popis strzelecki przez dziesięciolecia pozostanie w annałach światowego futbolu.

### ***Jak prasa opisywała szanse Biało-Czerwonych na sukces podczas czempionatu?***

Zanim przejdę do samego turnieju, chciałbym podkreślić jeszcze jedną dosyć ciekawą rzecz. Dzisiejsze pokolenie prawdopodobnie już nigdy się z taką sytuacją nie spotka. Otóż rewanżowy mecz kwalifikacyjny w Belgradzie rozegraliśmy w kwietniu, a losowanie pierwszej rundy mistrzostw świata – dokonane przez wnuczka Julesa Rimeta – przeprowadzono miesiąc wcześniej, piątego marca! Los skrzyżował ze sobą Brazylię i zwycięzcę dwumeczu Polska–Jugosławia. Te dwie europejskie drużyny wiedziały więc, że w razie awansu już w pierwszej rundzie trafią na potęgę.

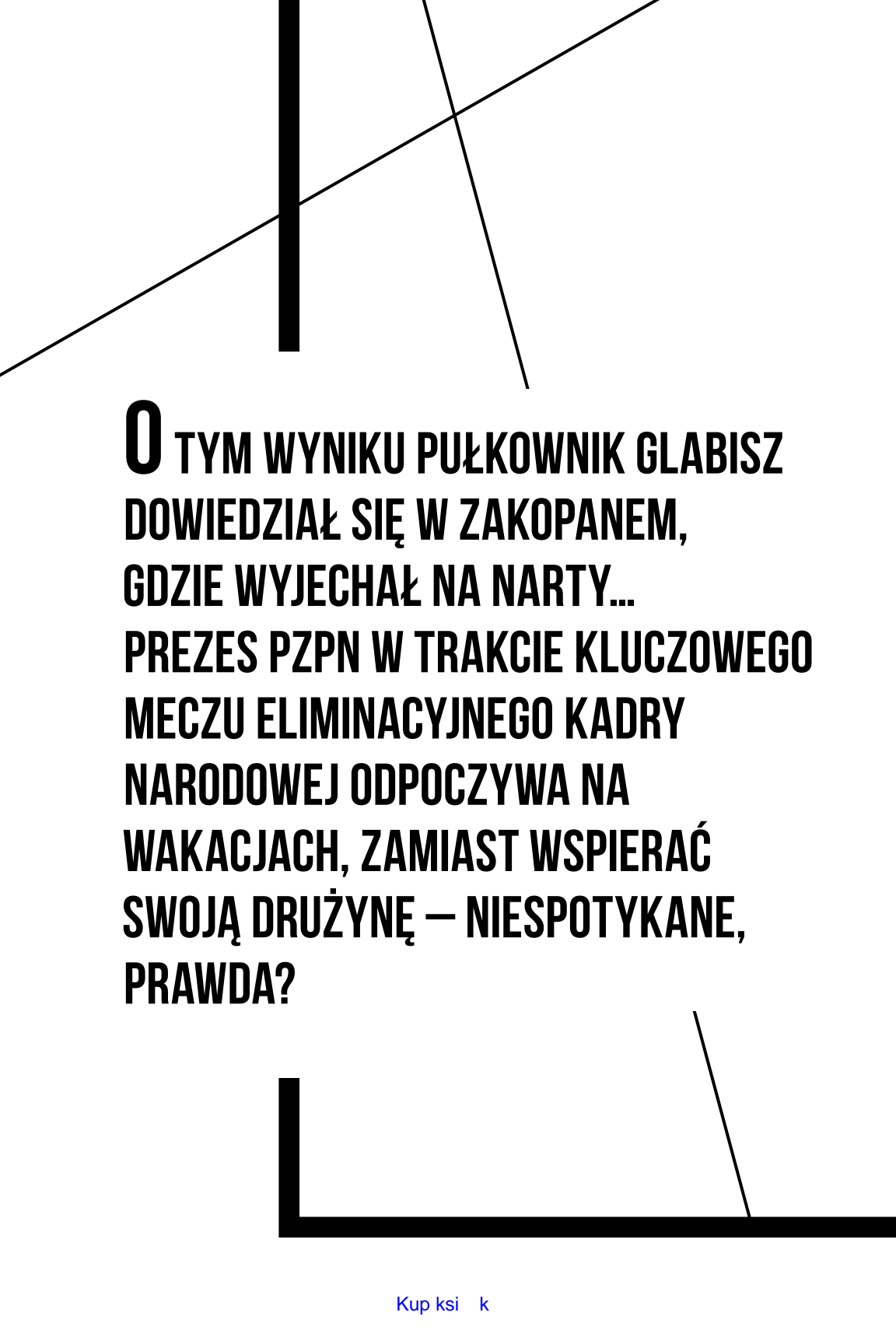


## **Jakie wobec tego nastroje panowały w polskim obozie przed meczem z Brazylią?**

Po zwycięskiej porażce w Jugosławii euforii nie było końca. Wszyscy kibice piłkarscy i działacze ostrzyli sobie zęby na starcie z wielką Brazylią, choć w narodzie dominowało przekonanie, że łatwo nie będzie. Kilka dni po meczu z Jugosławią, 10 kwietnia, rozpoczął się sezon ligowy. Warto wiedzieć, że w naszej lidze grano wtedy systemem wiosna–jesień, co w kontekście mistrzostw świata mogło przynieść dużo dobrego – piłkarze w krajowej lidze rywalizowali od dwóch miesięcy, a nie od dziewięciu. Prasa tymczasem rozpoczęła podgrzewanie mundialowej atmosfery. „Przegląd Sportowy”, który chciał dostarczyć czytelnikom jak najszerszej wiedzy dotyczącej naszych czerwcowych rywali, zaczął zamieszczać sprawozdania z rozgrywek ligowych w Brazylii. W kwietniu martwiono się nieco o dyspozycję Erwina Nytza, który co prawda w kadrze był bezkonkurencyjny, natomiast w lidze nie przejawiał zbyt wysokiej formy. W jednym z numerów „Przegląd” napisał nawet zdanie, które bardzo przypadło mi do gustu: „Lepszy Nytz niż nic”.

Jeśli chodzi o sam turniej, po raz kolejny namieszała w nim polityka. Zasady walki o Puchar Świata we Francji nie różniły się od tych, które obowiązywały cztery

lata wcześniej. Przed losowaniem szesnaście drużyn podzielono na dwa koszyki, silniejszy i słabszy, żeby zapobiec eliminacji najlepszych drużyn już w pierwszej rundzie. Para Jugosławia–Polska losowana była oczywiście jako to słabsze ogniwo i dlatego od razu wpadliśmy na jednego z faworytów. W ostatniej chwili wycofano natomiast drużynę Austrii po tym, gdy w marcu trzydziestego ósmego roku kraj ten politycznie wchłonęła Trzecia Rzesza. Zaproszeni w ich miejsce Anglicy nie byli natomiast zainteresowani udziałem w tej zabawie. Na turnieju mieliśmy więc ostatecznie piętnaście drużyn i brakowało jednej do utworzenia pełnej drabinki. FIFA zdecydowała się przyznać wolny los Szwecji, która w ten sposób dotarła do ćwierćfinału, nawet nie wychodząc na boisko. Wydarzenie to miało także znaczenie dla naszej drużyny, ponieważ zmieniono nam miejsce rozgrywania meczu z Brazylią. Gra pierwotnie miała się odbyć w Tuluzie, a została przeniesiona do Strasburga. W kraju przyjęto tę decyzję z ulgą, bo dzięki temu unikano długiej podróży na południe Francji. Ponadto w samym Strasburgu klimat jest dużo łagodniejszy i bardziej zbliżony do naszego, co zdaniem niektórych miało duże znaczenie w kontekście startu w mistrzostwach, a szczególnie w perspektywie meczu z południowcami.



**O TYM WYNIKU PUŁKOWNIK GLABISZ  
DOWIEDZIAŁ SIĘ W ZAKOPANEM,  
GDZIE WYJECHAŁ NA NARTY...  
PREZES PZPN W TRAKCIE KLUCZOWEGO  
MECZU ELIMINACYJNEGO KADRY  
NARODOWEJ ODPOCZYWA NA  
WAKACJACH, ZAMIAST WSPIERAĆ  
SWOJĄ DRUŻYNĘ – NIESPOTYKANE,  
PRAWDA?**

## ***Na ile poważnie podchodzono wtedy do aspektu aklimatyzacji? Czy pojechaliśmy do Francji na jakiś obóz przed mistrzostwami?***

Nasi przygotowywali się do turnieju na sześciotygodniowym zgrupowaniu w Wągrowcu. Później piętnastu zawodników i trzech trenerów ruszyło w podróż pociągiem z Poznania przez Berlin do Strasburga. Nasza drużyna musiała dostać od PZPN specjalną zgodę na podróż wagonem sypialnym, bo wcześniej na mecze jeździli w drugiej klasie. Co intrygujące, trener Józef Kałuża zabrał na turniej dwóch debutantów: Waltera Broma i Stanisława Barana. Niestety nie było im dane zadebiutować w koszulce z orłem na piersi w trakcie mistrzostw świata, co byłoby ewenementem. Inna ciekawostka: powołany na turniej Edward Madejski nie przynależał wtedy do żadnego klubu. Skoro jesteśmy już przy klubach, to najwięcej zawodników tamtej kadry miał Ruch Chorzów, który do Strasburga wysłał czterech reprezentantów. O Bromie już mówiłem; oczywiście pojechali też Wilimowski i Gerard Wodarz, a czwartym był obrońca Edmund Giemsa, który jednak nie zagrał w turnieju. Siedmiu zawodników reprezentacji nie mogło pojechać do Francji z powodów finansowych i zostało w kraju. Niestety nie wiem, o jakie kwoty chodziło, a szkoda, ponieważ to bardzo, bardzo interesujący temat.

W Polsce został między innymi Ewald Cebula z drużyny Śląska Świętochłowice, który słynął z tego, że jako jeden z nielicznych zagrał w reprezentacji Polski zarówno przed, jak i po drugiej wojnie światowej.

### ***Brazylijczycy traktowali nas jako poważnego rywala?***

Oni cały turniej potraktowali niezwykle poważnie. Nasi przez wspomniane problemy finansowe pojechali na mistrzostwa tylko w piętnastkę, natomiast Brazylijczycy wysłali do Francji aż dwie drużyny i otwarcie zapowiadali, że jadą po mistrzostwo świata. My we Francji mieszkaliśmy w Sélestat, niewielkiej miejscowości pod Strasburgiem, a dla porównania Brazylijczycy spali w komfortowych apartamentach w Saint-Germain. Cel mieli jeden: mistrzostwo świata, a Polska miała być jedynie pierwszym przystankiem tej podróży. Choć trzeba szczerze powiedzieć, że po samym losowaniu zapanowała w Brazylii pewna nerwowość. Tłumaczono ją w bardzo logiczny, choć nieco podwórkowy sposób: Brazylijczycy obawiali się nas, ponieważ wygraliśmy z Jugosławią 4:0, a oni z tą samą Jugosławią przegrali 3:7. Im bliżej było mistrzostw, tym Brazylia zyskiwała na pewności siebie. W Polsce nastroje również były dobre, ponieważ na chwilę przed wyjazdem do Francji ograliśmy Irlandię aż 6:0.

Po dwie bramki strzelili wtedy Wodarz i Piątek, a po jednym trafieniu dołożyli także Wilimowski i Jan Wasiewicz.

### ***Mówiłeś, że mecz został przeniesiony do Strasburga.***

Stadion w Strasburgu – La Meinau – jeszcze pod koniec maja był placem budowy, a mecz zaplanowano już na początek czerwca. Francuzi zdążyli za pięć dwunasta. Ten stadion w przyszłości jeszcze raz zapisze się w historii naszej piłki: w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Górnik Zabrze rozegra tu swoje dodatkowe, trzecie spotkanie z Romą w półfinale Pucharu Zdobywców Pucharów. To ten mecz, w którym o awansie zabrzano przesądzi rzut monetą. No, ale w trzydziestym ósmym strasburskie boisko nie było dla nas niestety tak szczęśliwe... Punktualnie o wpół do szóstej wieczorem w niedzielę 5 czerwca 1938 roku rozpoczął się nasz debiut na turnieju mistrzowskim. Wiadomo, że telewizorów wtedy nie było, więc Polacy zainteresowani relacją ze spotkania gromadzili się przy odbiornikach radiowych. Jednak posiadanie takiego urządzenia w domu było nie lada gratką, więc w dużych miastach Rzeczypospolitej w niektórych miejscach publicznych wystawiono głośniki. Dziś taki zabieg moglibyśmy nazwać strefą kibica. Co bogatsi sympatycy gier sportowych mogli wyjechać do Strasburga razem

z drużyną, a koszt takiej ekskursji wynosił 199 złotych. Dodam, opierając się na danych rocznika statystycznego z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, że w trzydziestym ósmym przeciętne miesięczne pobory robotnika wynosiły sto złotych, a przeciętny pracownik kolei zarabiał w miesiąc dwieście złotych. Jak widać, aby obejrzeć na żywo cztery gole Wilimowskiego, trzeba było niemałego poświęcenia finansowego.

### ***Rodakom pozostało więc tylko radiowe Studio S-13...***

Odbiornik radiowy kosztował w trzydziestym ósmym roku około stu pięćdziesięciu złotych, ale już zakup odbiornika telewizyjnego wiązał się z wydatkiem rzędu – uważaj, trzymaj się czegoś – pięciu tysięcy złotych! Kończąc wątek cen, dodam jeszcze dla złapania odniesienia, że kurs polskiego złotego przed wojną był powiązany z ceną złota i miał stały parytet na poziomie jeden kilogram czystego złota równa się 5924 złote polskie. Rozumiesz – albo telewizor, albo kilogram złota. I weź wtedy swojej kobiecie powiedz, że idziesz kupić odbiornik telewizyjny, bo nasi grają na mistrzostwach i chcesz zaprosić kumpli...

Polskie Radio na okoliczność piłkarskiego czempionatu wysłało do Francji swojego przedstawiciela, Michała

Franka, który w tamtej chwili miał zaledwie trzydzieści jeden lat i od dwóch lat pracował w radio. Sprawozdawca tak wspominał tamten czas w rozmowie z gazetą „Antena”:

„Na dachu trybuny ustawiono trzy mikrofony, dwadzieścia, trzydzieści metrów jeden od drugiego. Na prawym krańcu spadzistego dachu nadaje Brazylia, pośrodku wdzięczy się do mikrofonu sprawozdawca francuski, przejęty zarówno przebiegiem meczu, jak i rolą muru granicznego pomiędzy speakerem brazylijskim a mną, stojącym najbardziej na lewo. Ustawienie takie zawdzięczamy pono obawom, aby sprawozdawcy nie poczuli się w ferworze zmagania drużyn narodowych. Prócz mikrofonów stoją na dachu dwa potężne aparaty do zdjęć kinematograficznych – co chwila po trzeszczących szczeblach drabiny winduje się któryś z mechaników radiowych, uzgadniając z nami szczegóły i czas transmisji. Niebo powoli zasnuwa się obłokami, ale ciepło jest bardzo – koło mnie lokuje się zapasowy gracz drużyny polskiej, Giemsa”. Piękny zapis, prawda? W drugiej połowie spotkania Frank miał trudne zadanie, ponieważ zaczął padać deszcz, a on nie miał parasola. Założył więc worek na głowę i plecy i w takich okolicznościach stworzył swoim głosem legendę tego meczu. Jego relacja z mistrzostw zebrała znakomite recenzje. Frank zapisał też wspomniał kartę podczas drugiej wojny



światowej: był żołnierzem kampanii wrześniowej, później współtworzył ruch oporu, ale niestety zginął w Auschwitz w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku.

### ***Mecz wygrała Brazylia w stosunku sześć do pięciu. Sama gra też była na styku?***

Raczej nie, Brazylijczycy byli na placu dużo lepsi. Nasi rozpoczęli spotkanie w składzie: Madejski – Szczepaniak, Gałęcki – Góra, Dytko, Nytz – Piec, Piątek, Wilimowski, Wodarz, Scherfke. Strzelanie zaczęło się już w osiemnastej minucie, gdy blisko szesnastotysięczna widownia zobaczyła trafienie Leônidas. Tym sposobem Canarinhos udokumentowali swoją przytłaczającą przewagę. Chwilę później w polu karnym padł faulowany Wilimowski, a jedenastkę na gola zamienił Fryderyk Scherfke, który na turniej pojechał niejako w ostatniej chwili. Słyszałem kiedyś pytanie o to, dlaczego strzelał Scherfke, a nie Wilimowski. „Przecież Ernest miałby wtedy ustrzelonych pięć bramek w jednym meczu...” Przypominam tylko, że w momencie kiedy mieliśmy ten rzut karny, to Wilimowski nie miał na koncie ani jednego gola, a nadto to właśnie Scherfke był pewniejszym wykonawcą karnych i tę jedenastkę też wykorzystał bardzo pewnie. Niestety po dwóch kolejnych minutach Brazylijczycy ponownie

objęli prowadzenie za sprawą Romeu. Gola do szatni strzelił jeszcze Perácio i po pierwszej połowie wynik 1:3 brzmiał fatalnie. Natomiast ulewa, która spadła na plac gry w drugiej połowie i tak uprzykrzyła pracę Frankowi, okazała się zbawienna dla naszych futbolistów. Namoknięte boisko nie sprzyjało technicznie grającym Brazylijczykom, przez co więcej z gry mieli nasi reprezentanci. I wykorzystali to fantastycznie – już w pięćdziesiątej dziewiątej minucie było 3:3, a oba gole zdobył niezawodny Wilimowski. Pechowo stracona bramka z siedemdziesiątej pierwszej minuty mogła jednak podłamać naszych rodaków, bo był to prawdziwy gol kuriozum: piłka po strzale Perácio uderzyła najpierw w poprzeczkę, później odbiła się od pleców Madejskiego i finalnie wpadła do siatki. Znow więc musieliśmy odrabiać straty. I znow zadbał o to Wilimowski, który swoim golem w osiemdziesiątej dziewiątej minucie dał naszym dogrywkę. Regulamin zawodów nie przewidywał wtedy konkursu rzutów karnych, więc gdyby po kolejnych trzydziestu minutach gry utrzymał się remis, to mecz musiałby zostać powtórzony. Niestety w dogrywce dominował już Leônidas, którego dwie bramki dały zwycięstwo Brazylii; z których jedna z nich została strzelona po fenomenalnym strzale przewrotką. Co prawda dystans zmniejszył jeszcze Wilimowski,

ale ostatecznie do dalszych gier przeszli Brazylijczycy. Wspomniany wyczyn Wilimowskiego, czyli cztery gole w meczu mistrzostw świata, długo był jedynym takim w historii piłkarskich czempionatów. Pobił go dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku Rosjanin Oleg Salenko, który strzelił pięć goli Kamerunowi. Michał Frank, wspomniany korespondent Polskiego Radia, napisał o tym meczu tak: „Dla oglądania tego Leônidasu warto było pojechać do Strasburga, moknąć i zmordować się fizycznie i nerwowo”.

***Ile jest prawdy w legendzie, że on grał ten mecz na bosaka?***

Zero. Taka sytuacja nie miała miejsca, bo zabraniały tego przepisy piłkarskie. Leônidas faktycznie w pewnym momencie zszedł na chwilę z boiska, zdjął buty i rzucił

**WRZUCASZ CZTERY GOLE BRAZYLI  
NA MISTRZOSTWACH ŚWIATA,  
A TU PISZĄ CI W GAZETACH,  
ŻE GRYWAŁEŚ JUŻ LEPSZE MECZE.**

nimi o ziemię, ale tylko po to, żeby otrzepać je z błota. Mecz zagrał w obuwii.

### ***Jakie były echa prasowe tego meczu?***

Zagraniczna prasa chwaliła Polaków i Wilimowskiego, natomiast nasi dziennikarze twierdzili, że Ezi wcale nie zanotował dobrego meczu! Wrzucasz cztery gole Brazylii na mistrzostwach świata, a tu piszą ci w gazetach, że grywałeś już lepsze mecze (śmiech). To tylko pokazuje, jak wiele od niego oczekiwano. Za najlepszego polskiego zawodnika tego historycznego meczu niekiedy uznawano natomiast pomocnika Ewalda Dytko. Mimo puszczonych sześciu goli dobre recenzje zbierał też bramkarz Edward Madejski, choć podkreślano jego nerwowość i brak szczęścia. „Przegląd Sportowy” wytykał naszym, że napad nie pomagał pomocnikom, a środkowy napastnik Fryderyk Scherfke był za wolny i mało bojowy. Po meczu PZPN chciał zorganizować nieformalny rewanż z reprezentacją Brazylii w Polsce, jednak rywale nie zgodzili się na ten pomysł. Brazylijski pomocnik Martim powiedział po tym meczu tak: „Jak wrócę do Brazylii i ktoś mi powie, że Polska nie umie grać w piłkę, to mu plunę w twarz”. Naszą drużynę komplementowali wszyscy, łącznie z prezesem brazylijskiej federacji.

Nigdy już niestety nie znajdziemy potwierdzenia moich słów, ale myślę, że tamta drużyna mogła osiągnąć naprawdę wiele. Gdyby turniej był rozgrywany inną metodą, dawał szansę awansu po pierwszej porażce, to myślę, że medal byłby w zasięgu naszych piłkarzy. To było uzdolnione pokolenie futbolistów, którzy jednak nie dostali więcej okazji na porównanie się z kolegami z innych krajów, bo już rok później przysła wojna, która niesamowicie poplątała losy tamtych piłkarzy. Chociaż trzeba otwarcie przyznać, że po turnieju we Francji reprezentacja popadła w przeciętność. Nie byliśmy w stanie pokonać chociażby Łotwy, Norwegii czy Irlandii, czyli rywali, którzy jeszcze do niedawna wydawali się być w naszym zasięgu. I właśnie wtedy PZPN zaprosił do Polski legendarnego zawodnika Arsenalu Aleca Jamesa, który miał nauczyć nas brytyjskiego stylu futbolu. I jego praca przyniosła po części efekty, bo przecież w ostatnim przedwojennym meczu pokonaliśmy wielkich Węgrów 4:2. Czy to mógł być zwiastun budowy wybitnej drużyny piłkarskiej? Nikt nawet nie zdążył pochylić się nad takim pytaniem, bo cztery dni później wybuchła wielka wojna światowa. A wojenne i powojenne losy naszych piłkarzy to już temat na oddzielną, długą historię.

**B**RAZYLIJSKI POMOCNIK MARTIM  
POWIEDZIAŁ PO TYM MECZU TAK:

**„JAK WRÓCĘ DO BRAZYLI I KTOŚ  
MI POWIE, ŻE POLSKA NIE UMIE  
GRAĆ W PIŁKĘ, TO MU PLUNĘ  
W TWARZ”.**



ANDRZEJ  
**STREJLAU**  
**1974**  
RFN

Praca z reprezentacją przypomina narzeczeństwo. To są randki, krótkie spotkania, buzi, kwiaty, kino, pocałunki i do domu. Każdy na swoje. A praca w klubie przypomina małżeństwo. To są dzieci, pieluchy, codzienne troski.

# ZDOBYĆ SERCA I POZOSTAĆ W NICH

**Andrzej Strelau**

(rocznik 1940)

Piłkarski praktyk i teoretyk, komentator sportu; szkolenowiec reprezentacji juniorskich i młodzieżowych, asystent trenerów kadry na mistrzostwach świata roku 1974 i roku 1978; w latach 1989–1993 selekcjoner pierwszej reprezentacji Polski.

[Kup książkę](#)

**Po wielkim sukcesie na igrzyskach dwa lata później przyszedł równie wielki wynik na mistrzostwach świata. Zastanawiam się, jakie u pana – drugiego trenera tamtej reprezentacji – mogły być wtedy myśli: czy że to zapewne koniec krótkiego, wspaniałego okresu polskiego piłkarstwa, czy dopiero początek czegoś naprawdę wielkiego, co potrwa wiele lat?**

Oto kończy się mecz z Brazylią, kończą się mistrzostwa, ale my nie rozumiemy w ten sposób i nie zastanawiamy się, co dalej. Mamy inne odniesienie: oto Polska przyjeżdża na tę imprezę jako nuworysz, kopciuszek, drużyna, która ma nie wyjść z grupy – bo przecież mówi się, że do drugiej rundy awansują tylko Argentyna i Włochy – tymczasem to my idziemy wyżej. Drużyna prezentuje się bardzo dobrze, gramy świeżą, ofensywną piłkę i widzimy, że ten styl gry podoba się obserwatorom, a do tego daje pożądaną skutek. Tak wtedy podchodzimy do naszego sukcesu, cieszymy się chwilą. Bez patrzenia w przód.

**Czyli w trakcie tego turnieju po każdym kolejnym meczu zwieńczonym sukcesem nie było u pana obaw, że to jednorazowy wybryk, a za rok znów spadniemy do roli, jaką odgrywaliśmy w światowej piłce przez poprzednie pół wieku?**



W trakcie turnieju w tych kategoriach się nie myśli. Nie ma wtedy podstaw, żeby się zastanawiać, co będzie dalej. Patrzymy tu i teraz: drużyna pracuje ekspansywnie, chcemy tylko zakończyć turniej najlepszym możliwym wynikiem. I tyle.

***Tyle? Dwa lata wcześniej złoto olimpijskie, teraz trzecie miejsce na mistrzostwach świata, do tego świetnie rokująca drużyna młodzieżowa, którą to pan sterował...***

Igrzyska nie mają porównania do poważnej piłki seniorskiej. My na naprawdę wielką scenę futbolu wchodzimy dopiero w roku siedemdziesiątym czwartym: oto kończy się wspaniały dla nas turniej, jesteśmy zadowoleni ze zdobycia trzeciego miejsca na świecie i zwycięstwa w trudnym meczu z Brazylią. Dla nich konieczność gry tylko o trzecie miejsce to już klęska – nie wszyscy w drużynie brazylijskiej prezentują się dobrze, chociaż świetny mecz gra Rivelino, szaleje też Marinho – ale dla nas to wielka rzecz. Wydarzenie. A jak się wkrótce okazało, było to wydarzenie wielkie nie tylko dla nas, piłkarzy i trenerów, ale i dla całego polskiego narodu. Poczuliśmy to, kiedy zwożono ludzi socjalizmu z zakładów pracy i tłumy stały na naszej trasie z lotniska do hotelu Solec – jeszcze wtedy małego, jednopiętrowego budynku – który przez lata był

bazą reprezentacji. Powiedziałbym nawet, że dla opinii publicznej, obywateli, którzy łaknęli sukcesu, uroczysty przejazd drużyny był wydarzeniem większym niż dla nas, bo my już tam, na miejscu, mogliśmy się przyzwyczać do tego sukcesu. Przecież jeszcze w RFN piłkarze udzielali licznych wywiadów, były uroczystości, odbiór medali, nagród indywidualnych – tylko przypomnę, że Deyna został trzecim najlepszym piłkarzem po Holendrze Cruyffie i Niemcu Beckenbauerze – i uroczyste kolacje. Powrót do kraju był już tylko zwieńczeniem tej celebry.

***Ale czy nie miał pan przekonania, że ta drużyna ma ogromny potencjał, a wzmocniona młodzieżówką będzie zdolna do rzeczy naprawdę wielkich?***

Forma sportowców w grach zespołowych jest ulotna. My już tamtej jesieni – w pierwszym meczu po tym świetnym wyniku na turnieju w Niemczech – mieliśmy bardzo słaby mecz z Finlandią, cudem wygrany 2:1. Ja prowadziłem jednocześnie reprezentację młodzieżową – weszliśmy do turnieju finałowego mistrzostw Europy po wygraniu 3:2 z RFN, choć przegrywaliśmy już 0:2; mecz na starym stadionie Legii – i to ta młodzież tworzyła trzon drużyny rezerwowej i wiadomo było, że powoli zacznie uzupełniać pierwszą reprezentację. Ale jak to się mogło potoczyć?

Czy zespół mógł być jeszcze lepszy, zdolny do jeszcze większych wyników? W piłce niczego nie da się przewidywać. Najstabilniejszą drużyną – na przestrzeni wielu lat, wielu generacji piłkarzy – są Niemcy. I to tylko Niemcy mogą i mają prawo mówić, że każde ich pokolenie jest piłkarsko znakomite.

Odpowiadając zatem na pytanie, czy w siedemdziesiątym czwartym da się zaprogramować dalszy rozwój drużyny – wiadomo, szanse są. Trzeba ruszyć mocno do pracy, zabezpieczyć przyszłość w systemie i tak ten system udroźnić, aby chłopców nie stracić – zarówno tych z kierowanej przez Kazia drużyny seniorskiej, jak i trenowanej przeze mnie młodzieżówki. Jednocześnie trzeba pilnować tych najlepszych, bo po wielkim sukcesie w Niemczech – gdy cały świat zachwycał się stylem i jakością gry prezentowanej przez nasz zespół – każdy chce wyjechać na Zachód. I oto pierwszy – za zgodą Gierka, przy wstawiennictwie Komunistycznej Partii Francji – wyjeżdża Gadocha; on już widzi różnicę między Zachodem a socjalistyczną Polską. Po nim idą następni, drużyna przechodzi zmiany personalne i jakościowe. Czekamy na kolejne turnieje, nie myśląc już, co było w roku siedemdziesiątym czwartym i co było w roku siedemdziesiątym drugim.

## **Ten srebrny medal mistrzostw z RFN był cenniejszy niż złoty medal igrzysk z RFN?**

Ależ oczywiście. Igrzyska to były wtedy mistrzostwa państw socjalistycznych. Istniały tam oczywiście silne drużyny, Związek Radziecki rzeczywiście miał wówczas bardzo mocny zespół i z Polską to był dramatyczny mecz – na którym siedziałem w grupie obserwatorów wraz z Jackiem Gmochem, Jerzym Talagą i Witoldem Dłużniakiem; a wśród nich ja, mimo że najmłodszy, byłem szefem grupy – ale nie można porównywać piłki amatorskiej z zawodowstwem. To były mistrzostwa we własnym, socjalistycznym gronie. Weryfikacja naszych możliwości miała przyjść dopiero w siedemdziesiątym czwartym.

## **Jaki wynik uznalibyście w waszym trenerskim trio za sukces na mundialu w tymże siedemdziesiątym czwartym?**

Otóż nie było to trio, tylko duet: Górski i ja. Górski był selekcjonerem reprezentacji seniorskiej, a ja byłem jednocześnie selekcjonerem reprezentacji młodzieżowej do lat dwudziestu trzech oraz drugim trenerem reprezentacji seniorskiej. Natomiast Jacek Gmoch był szefem banku informacji i swoje obowiązki wykonywał bardzo dobrze. Jednocześnie miał już uprawnienia instruktorskie w piłce

nożnej – za co ręczę, bo byłem wykładowcą na jego kursie – natomiast w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku Gmoch zdobył tytuł trenera drugiej klasy, eksternistycznie zdając egzamin w warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego.

***Dobrze, czy więc w duecie Górski–Strejlau wyznaczylście sobie próg, od którego moglibyście wtedy mówić o sukcesie?***

Celem, jaki stawiamy przed sobą i drużyną, jest wyjście z grupy. I faktycznie, osiągnięcie tego pułapu jest już zaskoczeniem w kraju, zostaje pozytywnie odebrane przez opinię publiczną. Takie poczucie spełnienia pojawia się od razu również w naszym gronie: oto już nikt nam nie zarzuci – choć nic nikomu nie obiecywaliśmy, nie padły żadne deklaracje przed wyjazdem – że cel nie został zrealizowany czy że nie wypełniliśmy minimum. I odtąd już wiemy, że teraz szukamy tylko czegoś więcej.

***Presja oczekowań w takim momencie rośnie czy spada?***

Zadał pan rozsądne pytanie – no bo z jednej strony już pan jest spełniony, ale z drugiej widzi szansę, żeby walcząc dalej, osiągnąć naprawdę wielki sukces. Natomiast ja widzę wtedy po drużynie, że presja jest już mniejsza.

Wiemy bowiem, że w turnieju zostały już tylko równie mocne zespoły, które to mają takie same cele jak my albo nawet wyższe, jak Brazylia czy Niemcy.

***Trudniej się wtedy pracowało z takimi nasyconymi zawodnikami, którzy już osiągnęli cel i mogli pozwolić sobie na większy luz?***

Nie, w takich okolicznościach nie pracuje się trudniej. Jest wprawdzie lekkie odprężenie, ale też świadomość, że można osiągnąć jeszcze więcej.

***A odczuł pan wzrost zaufania piłkarzy do sztabu, gdy zawodnicy przekonali się, że wspólna praca przynosi nadspodziewanie korzystne efekty?***

Myślę, że w tej drużynie nie było problemu braku wzajemnego zaufania. Oni kochali Kazia, Kazio kochał ich – na swój sposób, bo potrafił być surowy, kiedy na przykład ktoś się spóźniał – i oni od początku w pełni sobie ufali. W tym zawodzie, gdy współpracuje ze sobą liczna grupa dorosłych osób, bardzo ważna jest uczciwość i rzetelność. Jeśli zawodnik widzi, że jest oceniany uczciwie i rzetelnie, to daje mu to impuls do ciężkiej,

a przede wszystkim mądrej pracy. Kazimierz Górski był sprawiedliwym trenerem i piłkarze to doceniali.

***Jak więc pan reaguje na narrację, że Górski był lepszym selekcjonerem niż trenerem?***

To jest nieporównywalne. Praca w klubie i w reprezentacji – niby ta sama piłka, ale to dwie różne prace. Pan jest żonaty?

***Tak, z Dalią.***

No to szybko pan zrozumie. Otóż praca z reprezentacją przypomina narzeczeństwo. To są randki, krótkie spotkania – choć wtedy jeszcze długie, bo zgrupowania mieliśmy po dwa tygodnie, czyli komfort, którego nie ma Adaś Nawałka – buzi, kwiaty, kino, pocałunki i do domu. Każdy na swoje. A praca w klubie przypomina małżeństwo. To są dzieci, pieluchy, codzienne troski. I tylko w ten sposób można oceniać Górskiego jako trenera klubowego i Górskiego jako selekcjonera kadry.

W klubie nie ma wyboru – ma pan kadrę, jaką ma, i pana obowiązkiem jest wyciągnięcie z niej wszystkiego, co najlepsze. Natomiast w reprezentacji to pan dobiera sobie zawodników, więc ma pan większe możliwości kreacji gry.

***A gdyby porównać poszczególnych selekcjonerów i ich metody budowania polskiej kadry na mundialu? Pan był zawsze blisko tematu – Górski, Gmoch, Piechniczek, Engel, Janas, Nawałka...***

Nie można tak podchodzić do tego zagadnienia, bo tak się nie da. Każdy kolejny selekcjoner korzysta z doświadczeń poprzedniego i - przecież logika to wskazuje - już na tej jednej podstawie można powiedzieć, że jest w lepszej sytuacji niż poprzednik. My byliśmy pierwsi i Górski nie miał z tych doświadczeń korzystać.

***Dopiero się uczył, jak prowadzić drużynę turniejową?***

Myślę, że nie, bo miał swój koncept, choćby ten z roku siedemdziesiątego drugiego. Chciał pracować tak, jak pracuje się w klubach, dostosowując przygotowania i treningi do takich warunków, jakie można było wtedy mieć, a w tej kwestii nadal byliśmy ubogim krewnym w stosunku na przykład do drużyny niemieckiej. Dlatego ja uważam, że nie wolno stawiać takich porównań między poszczególnymi trenerami, wiedząc, że każdy z nich funkcjonował w innych warunkach.



**„Świetny selekcjoner, świetne podejście do piłkarzy, ale gorzej od strony warsztatowej” – pojawiają się takie głosy przy ocenie pracy „trenera tysiąclecia”.**

Jeżeli ktoś po jednym, dwóch meczach musi ocenić, czy dany zawodnik nadaje się do drużyny, do obranej wcześniej taktyki, do stylu gry innych zawodników, i mu się to udaje – a przecież wyniki drużyn Górskiego bezsprzecznie to potwierdzają – to znaczy, że taki człowiek jest znakomitym fachowcem.

**Czasami taka intuicja jest ważniejsza niż opracowanie kilkunastu wariantów rzutów wolnych?**

A czymże jest intuicja? Intuicję zostawmy na boku, w piłce jej nie ma. Istnieje natomiast wprawna obserwacja, bardzo dobry zmysł dopasowania poszczególnych zawodników, umiejętność znalezienia najlepszej roli danemu piłkarzowi oraz fachowość przygotowania najlepszej taktyki dla danej grupy zawodników.

Natomiast poruszył pan bardzo ciekawe zagadnienie. Czasami takie opinie i odczucia o Górskim wygłaszały osoby, które znały go pobieżnie, które obcowały z nim krótko na zgrupowaniach. Uważam, że aby to była rzetelna, wiarygodna, podparta dłuższą obserwacją

opinia, o warsztacie trenera można się wypowiadać jedynie, gdy z takim trenerem pracowało się w klubie. Nie w reprezentacji – w klubie. Pytanie więc, czy te osoby, które kwestionują umiejętności Górskiego jako trenera, pracowały z nim w klubie? Bo jeśli nie, to ktoś opowiada rzeczy zasłyszane. A to już niegrzeczne.

***Dwa tygodnie to za mało, żeby wyrobić sobie miarodajną opinię o trenerze?***

Zależy, w jakim okresie przygotowawczym znajduje się drużyna. Jeśli trener uznał, że to będzie okres luźnej, lekkiej pracy, to co? Mnie też zawsze pouczali inni trenerzy, jak mam prowadzić reprezentację. „Weźcie się za swoje drużyny. Nie możecie meczu w lidze wygrać, a już wiecie, jak powinna grać reprezentacja...” Mamy tendencję do wydawania bardzo szybkich opinii, ale na ogół są one nieuprawnione, tym bardziej że człowiek, którego dotyczą, już nie żyje i nie może zabrać głosu na swój temat. Nieuprawnione są więc dla mnie zarówno takie odpowiedzi, jak i takie pytania.

***Wróćmy zatem do niemieckiego turnieju. Pojawiały się momenty, gdy pan się nie zgadzał z decyzjami Górskiego? Wybory personalne, założenia taktyczne, forma treningu?***

Zawsze wszystko uzgadnialiśmy w naszym trenerskim gronie, ale trzeba pamiętać o jednej rzeczy: boss jest zawsze jeden. Ja mogę mieć jedną opinię, pan drugą, ktoś obok trzecią, ale ostateczna decyzja należy do tego najważniejszego człowieka i odtąd obowiązuje ona wszystkich: mnie, pana, drużynę. I nikt nie ma prawa powiedzieć nic innego nawet, że miał inne zdanie. Jeśli grupa trenerów ma współpracować, to musi być jednogłós. Takie są reguły współpracy pod względem moralno-etycznym. Górski każdego z nas pytał, każdego z nas słuchał, ale decyzje podejmował tylko on. Nikt inny.

***Co by pan zmienił w przygotowaniach do tamtego mundialu teraz, będąc mądrzejszym o kilka kolejnych turniejów mistrzowskich, o wiele lat pracy w klubach i o postęp wiedzy medycznej i technologicznej?***

Nic bym nie zmienił. Ten okres przedturniejowy pracowaliśmy bardzo solidnie i konkretnie. Nie wiem, jak to wyglądało w przypadku innych drużyn, ale my – do dziś jestem o tym przekonany – zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy najlepiej – uwzględniając ówczesne możliwości technologiczne – by ten zespół przygotować perfekcyjnie pod każdym względem. Pod każdym, a więc nie była to metoda na wyczucie, na nos i oko, tylko przeprowadzaliśmy

badania w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie oraz w Polskiej Akademii Nauk. Mieliśmy więc wiedzę od ludzi nauki. Tak pogłębione metody stosowaliśmy po raz pierwszy i w tym miejscu trzeba wspomnieć o Lesławie Makuchu – pracowniku Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, mieszkającym teraz w Danii, bo został z socjalistycznej Polski wygnany jako współpracownik najprawdopodobniej KOR – perfekcjonście, zawsze świetnie przygotowanym do zajęć, który przebadał zespół i był jednym z liderów naszego zespołu naukowego. To on w siedemdziesiątym drugim roku zaplanował dla reprezentacji program zimowych przygotowań w Wiśle i w Jugosławii.

***Czy Górski w pełni aprobował te metody naukowe, czy w rozmowach z panem przyznawał, że podchodzi z dystansem do takich nowinek?***

Nie wszystko było przez Kazia literalnie brane pod uwagę tak, jak to mówił świat nauki. Nierzadko bazował na swoim doświadczeniu i podejmował decyzje wbrew zaleceniom teoretyków. Czasami naukowcy z wynikami badań szli do Górskiego i mówili: „To jest zawodnik, który może sprawiać kłopot, bo nie jest odpowiednio przygotowany”. I wtedy padała lapidarna odpowiedź Kazia, który – kończąc

koniaczek, spokojnie siedząc w fotelu – przemawiał po lwowsku: „Ja bardzo szanuję pańską wypowiedź, ale na razie będzie grał ten kolega, który wywalczył awans”. Takim słowem potwierdzał, że był znakomitym fachowcem od doboru personalnego, który czasami widzi więcej niż nauka.

***Czyli mimo czterdziestu kolejnych lat zbierania wiedzy i doświadczenia podtrzymuje pan ocenę, że w siedemdziesiątym czwartym od strony szkoleniowej piłkarze byli przez was optymalnie zarządzani.***

Optymalnie do tego, czym dysponował wtedy świat i Polska. Jeśli chwilę po mistrzostwach prowadzę na zaproszenie federacji urugwajskiej szkolenia w Montevideo i Paysandú, na których obecni są najważniejsi trenerzy z Ameryki Południowej – starostą kursu jest Juan López Fontana, zdobywca mistrzostwa świata z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku – a ja przedstawiam nasze osiągnięcia w dziedzinie przygotowania drużyny piłkarskiej oraz doświadczenia europejskie, to uważam, że stan wiedzy, jaki mieliśmy i z jakiego skorzystaliśmy, był na wysokim poziomie. Zrobiliśmy to, co było możliwe.

***I po latach nie widzi pan nawet jednego obszaru, na którym jednak mieliście niewykorzystane rezerwy? Jakiegokolwiek aspektu, który mógłby pchnąć drużynę do finału?***

Zależnego od nas? Nie było. Natomiast mimo wszystko powiem, że warunki meczu z RFN pomagały gospodarzom i gdyby pogoda była inna, to ten czynnik mógłby nam pomóc. Uważam ponadto – i to chcę powiedzieć mocno, bo było to nieuczciwe, a konsekwencją są obecne problemy korupcyjne w FIFA czy UEFA – że nie wolno było wyznaczyć do takiego meczu sędziego niemieckojęzycznego. Pamięta pan, kto wtedy sędziował?

**DO DZIŚ JESTEM PRZEKONANY,  
ŻE ZROBILIŚMY WSZYSTKO, BY TEN  
ZESPÓŁ PRZYGOTOWAĆ PERFEKCYJNIE  
POD KAŻDYM WZGLĘDEM.**

**W TĘDY PADAŁA LAPIDARNA ODPOWIEDŹ  
KAZIA, KTÓRY – KOŃCZĄC KONIACZEK  
– PRZEMAWIAŁ PO LWOWSKU:**

**„JA BARDZO SZANUJĘ  
PAŃSKĄ PODPOWIEDŹ,  
ALE NA RAZIE BĘDZIE  
GRAŁ TEN KOLEGA,  
KTÓRY WYWALCZYŁ  
AWANS”.**

## **Austriak.**

Erich Linemayr. Zapomnieli, że nasi piłkarze znają ten język.

## **Co słyszeli?**

Musiałby pan pytać zawodników, ja cytować nie będę, bo sam tego nie słyszałem. Ale takiego wyboru się nie podejmuje, gdy na miejscu jest cały świat sędziów i sztuką jest nie wystawić kogoś innego. Dlaczego więc Austriak do meczu Niemców?

Jeszcze jedna istotna sprawa: uważam, że Niemcy specjalnie tak pokierowali swoimi wynikami, żeby nie wpaść w drugiej fazie mistrzostw na Holandię. Zawsze byli wyrachowani, zawsze pracowali z ołówkiem w ręku. Przekalkulowali sobie najdogodniejsze scenariusze, przegrali z NRD, by im wyszła ta Holandia dopiero w finale.

I to były te czynniki, które sprzyjały Niemcom. Czy moglibyśmy z nimi wygrać, gdyby warunki pogodowe były normalne i jednocześnie pamiętając, że to ich promował remis? Nie wiem. Na pytanie: „co by było, gdyby nie przedmeczowe załamanie pogody”, już nigdy sobie nie odpowiemy.



***Czy w waszym trenerskim gronie zapanował chaos, gdy zaczęło się to oberwanie chmury? Na szybko szukaliście nowych rozwiązań w strategii gry?***

Nie, dlaczego chaos? Oto w tym momencie zdajemy sobie sprawę, że brak kontuzjowanego Andrzeja Szarmacha bardzo osłabia nas w ataku, a jego doskonała gra w powietrzu byłaby w tych ekstremalnych warunkach na wagę złota. Wiemy jednak, że jesteśmy dobrze przygotowani do tego meczu, nie mamy już możliwości nic zmienić, więc gramy tak, jak wcześniej sobie zaplanowaliśmy.

***Nie było dyskusji o błyskawicznych korektach sposobu gry czy ustawienia?***

Jeśli w tym momencie mamy zmieniać sposób gry, to musimy zmienić całą drużynę. A takiej możliwości nie ma. Gramy to, na co się umówiliśmy. Jeśli na takim poziomie, gdy gra toczy się o finał mundialu, piłkarz nie wie, jak ma się zaadaptować do panujących warunków, wówczas należy sobie zadać pytanie: co on tu w ogóle robi? Przecież każdy widzi, gdzie piłka chodzi, jak

powinna, a gdzie staje w wodzie. Dobry piłkarz poradzi sobie w każdych warunkach.

***Czyli schematy gry opracowane wcześniej mogły mieć zastosowanie również na takim boisku?***

Skoro sami Niemcy zdecydowali, że Beckenbauer pozostaje na swoim polu – przez cały mecz przekracza środek boiska może dwa, trzy razy – to znaczy, że schematy, które mamy opracowane, są skuteczne, a rywale podchodzą do nich z wielkim szacunkiem. Sądzę, że mimo porażki był to jeden z naszych najlepszych meczów.

***Najlepszych w Niemczech czy ogólnie Orłów Górskiego?***

W Niemczech, bo najlepszy w ogóle był ten z Holandią w Chorzowie.

***Gdybyście dzień przed meczem wiedzieli, że będzie ulewa, to byłyby zmiany w składzie i metodzie gry?***

Niewykluczone. Ale skoro nie wiedzieliśmy, to po co teraz takie hipotezy?

***Mimo wszystko jeszcze jedno hipotetyczne pytanie o ten mecz symbol. W każdym wcześniejszym meczu tego***

**turnieju Polska strzelała na 1:0 i każdy z tych meczów wygrała. Czy gdybyście Niemcom też pierwsi strzelili, byłoby zwycięstwo?**

Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, bo musiałbym postawić tezę, a nie chcę, gdyż byłaby nieuprawniona. Czy oni byliby w stanie wyrównać w takich warunkach, w których to strona broniąca miała ułatwione zadanie? Nie wiem. Gdy się tylko broni, łatwiej o błąd. Nie mogę więc postawić nawet hipotetycznej tezy, bo byłaby to bzdura. A na tym poziomie – gdy mówimy o takim meczu, o takiej historii – pleść bzdur po prostu nie wypada.

**Czy przed wcześniejszymi meczami w grupie – z Jugosławią i Szwecją – braliście pod uwagę aspekt różnic bramkowych, aby przed starciem z Niemcami o finał zbudować odpowiednią przewagę w bilansie bramek i nie musieć grać z nimi o wygraną?**

Nie. Na takim poziomie i przy takich przeciwnikach nie mówi się o takich rzeczach. Mówi się tylko o wygranej. Dopiero w trakcie meczu, gdy on korzystnie się układa – ale my tego komfortu nie mamy ani z Jugosławią, ani ze Szwecją – można myśleć, czy jest szansa na większą zaliczkę.

**Jacek Gmoch, w rozmowie z portalem sport.pl przyznał, że przed meczem o finał z RFN ówczesny minister sportu Bolesław Kapitan przekazał mu wątpliwości polskiego rządu. Władze centralne ponoć obawiały się, „czy Polska za wysoko nie idzie” i „czy nie popsuje się model, a zawodnicy nie będą chcieli wyjeżdżać na Zachód?”. Znał pan te obawy polskich władz?**

Pierwsze słyszę taką rewelację, nigdy wcześniej nie spotkałem się z takim zdaniem. Ja tego nie słyszałem, a rozmawiałem z Bolesławem Kapitanem wielokrotnie, również po meczu z Niemcami.

**Czyli Gmoch może konfabulować?**

Tego nie powiedziałem. Jeśli Gmoch o tym mówił, to wiedział coś, czego ja nie wiedziałem. Widocznie Gmoch jako szef banku informacji miał lepsze wiadomości.

**„Walentynka od selekcyjnera”, czyli w jakich okolicznościach dowiedział się pan, że jedzie na mistrzostwa?**

Mnie nikt nie musiał na nie dodatkowo zapraszać. Skoro jestem drugim trenerem tej drużyny, skoro jestem pracownikiem związku; skoro prowadzę reprezentację do lat dwudziestu trzech, z której połowę zawodników

powołuje się do seniorskiej drużyny narodowej co więcej – skoro ta reprezentacja jest jedną z najlepszych reprezentacji młodzieżowych w Europie i ogrywa – na stadionie Marymontu, i to bezdyskusyjnie – naszą seniorską drużynę narodową skoro w przeddzień słynnego meczu na Wembley ta moja młodzieżówka też gra z Anglią – a oni mają bardzo mocny zespół, świetni są Francis, Perryman, Kennedy, George – i to my dominujemy na boisku i mimo wyniku 0:0 zbieramy dobre opinie, a brytyjska prasa po meczu pisze, że „jeśli drużyna Górskiego na Wembley zagra tak, jak ich młodzieżówka w Plymouth, to nie mamy z nimi szans”. I faktycznie zagrała po nas równie dobrze, osiągając historyczny remis, który okazał się kamieniem węgielnym pod przyszłe sukcesy naszej reprezentacji narodowej, a Anglicy, mistrzowie świata z sześćdziesiątego szóstego roku, przeżyli szok i do dziś, czyli przez ponad pół wieku, nie osiągnęli takiego sukcesu jak my... Skoro więc tak wygląda sytuacja, którą zarysowałem, to odpowiadając na pańskie pytanie, stwierdzam, że nie miałem żadnych obaw, czy Kazimierz Górski weźmie mnie na mundial. Nie było ani chwili, bym się zastanawiał, czy jadę. Oczywiście decyzja nie należała do mnie, ale byłbym zdumiony, gdyby inne rozwiązanie zostało przyjęte.

**„Na własne oczy”, czyli jaka była największa różnica między wyobrażeniami a tym, czego doświadczył pan na mistrzostwach w rzeczywistości?**

To były moje pierwsze mistrzostwa drużyn seniorów, ale niczym mnie nie zaskoczyły. Jeździłem już na turnieje UEFA z zespołem juniorów do lat osiemnastu, a z zespołem młodzieżowym graliśmy kilkakrotnie w wielkich meczach – w tym również z drużyną RFN, którą udało nam się pokonać, co było wtedy historycznym wyczynem. Tylko ja, a później Janusz Wójcik w juniorach i niedawno Nawałka w Warszawie pokonali Niemców – więc nie miałem prawa niczym być zaskoczony.

Muszę natomiast wspomnieć o perfekcyjnej organizacji mistrzostw zarówno ze strony naszego attaché Heńka Loski, jak i ze strony gospodarzy. Mieszkaliśmy w Murrhardt, w ośrodku rodziny Bofingerów, którzy traktowali nas jak rodzinę. I to nie tylko gospodarze ośrodka, ale też całe miasto bardzo nas wspierało. Było to widać choćby przy okazji meczu z RFN, gdy mieszkańcy mieli prawo być rozdarci, bo oczywiście chcieli kibicować swoim, ale to przecież nami byli tak bardzo zauroczeni. Również burmistrz miasta traktował nas wyjątkowo i po jednym ze spotkań – a był to rozegrany w pobliskim Stuttgarcie, wygrany 2:1 mecz z Włochami – miasteczko

na nasz przyjazd rozbłysło pełną iluminacją, a przecież Niemcy byli zawsze bardzo oszczędni. Wszystko było więc przygotowane perfekcyjnie, ptasiego mleka nam nie brakowało. Również władze federalne znakomicie się nami zajęły. A trzeba powiedzieć, że po siedemdziesiątym drugim roku i zamachu na igrzyskach w Monachium Niemcy byli wyjątkowo wyczuleni, więc naszego bezpieczeństwa oprócz helikopterów strzegła także ochrona, w tym tajne służby. Gdy szliśmy na spacer po parku, to widzieliśmy tam za każdym razem te same osoby, jak choćby kobietę siedzącą na ławce, robiącą na drutach i dyskretnie uzbrojoną.

### ***Chronili was czy inwigilowali?***

To byli funkcjonariusze, którzy dbali o nasz spokój i bezpieczeństwo, w żadnym razie nie byli to funkcjonariusze inwigilujący. Wracając do pytania: niczym nie byłem zaskoczony, wszystko było zorganizowane tak jak powinno. Niemiecka precyzja.

## **„Ten moment”, czyli jaka chwila z mistrzostw najmocniej zapadła panu w pamięć?**

Cieężko wskazać jeden, bo różne są skale przeżyć: mamy inauguracyjny mecz z Argentyną, gdy w drugiej połowie przeżywamy kryzys, ale ostatecznie wychodzimy z niego, wygrywamy i otwieramy sobie bramy do raj. Mamy też słynne spotkanie z RFN, które przeszło do legendy jako „mecz na wodzie”. Mamy wreszcie Brazylię, czyli historyczny mecz, który dał nam medal. Trudne do sklasyfikowania, ale wydaje mi się, że najważniejszym meczem była jednak Argentyna. Ten mecz otworzył nam turniej, był początkiem pięknej drogi i najważniejszym momentem naszych mistrzostw.

## **„Zamknięta szuflada”, czyli jakie zdarzenie z czasu mistrzostw pozostawało dotąd nieznanne?**

Do dziś nie każdy wie, że w siedemdziesiątym czwartym jako sztab szkoleniowy mamy tam bardzo dużo pracy. Nigdzie nie wychodzimy poza ośrodek, funkcjonujemy w formacie hotel-mecz-hotel-mecz. Jesteśmy kompletnie odcięci od tego, co dzieje się na zewnątrz, i niewiele tej atmosfery możemy chłonać. Dwa razy mamy spotkania z Polonią, ale większość czasu spędzamy na intensywnej



**DZISÍ UWAŻAM, ŻE WSZYSTKO,  
CO OSIĄGNĘLIŚMY W RFN,  
TO JUŻ JEST COŚ WIĘCEJ NIŻ WYNIK  
SPORTOWY. TO COŚ WIĘCEJ NIŻ  
DRUŻYNA PIŁKARSKA. TO JUŻ  
ELEMENT NARODOWEJ POPKULTURY.  
I Z DZISIEJSZEJ PERSPEKTYWY  
POWIEM, ŻE TO JEST NASZYM DRUGIM  
NAJWIĘKSZYM SUKCESEM  
TEGO TURNIEJU.**

pracy. To są mistrzostwa, tu się myśli innymi kategoriami, tu każdy ma swoją pracę do wykonania. Nie możemy pozwolić sobie na odpoczynek. Tak to wyglądało.

**„Transfer z maszyny czasu”, czyli jakiego dowolnego piłkarza reprezentacji Polski najchętniej dokooptowałyby pan do waszego zespołu?**

I tu porusza pan kolejną ciekawą kwestię. Lubimy często robić takie zestawienia: czy ten, czy tamten piłkarz jest lepszy. Uważam to za kompletną bzdurę, gdyż nie da się w żaden rozsądny sposób zestawić ze sobą piłkarzy z dwóch różnych epok. Takie rankingi powinniśmy tworzyć w poszczególnych dekadach, bo tyle mniej więcej trwa kariera jednego piłkarza – czasem to osiem lat, czasem dwanaście – i tyle trwa jedno piłkarskie pokolenie. I tylko takie zestawianie nazwisk jest uprawnione. Nie da się żadną miarą porównać piłkarzy sprzed dwudziestu lat z obecnymi, tak jak obecnych nie da się porównać z tymi, którzy będą grać za lat dwadzieścia. Bo jak porówna pan fenomenalnego Szymkowiaka z lat pięćdziesiątych ze znakomitymi Kostką i Tomaszewskim z lat siedemdziesiątych czy z równie świetnymi fachowcami jak Boruc, Fabiański czy Szczęsny z obecnych czasów? To są rzeczy nieporównywalne.

Adekwatne byłoby więc pytanie: „Kogo z lat siedemdziesiątych wziąłbym do drużyny na niemieckie mistrzostwa w siedemdziesiątym czwartym roku?”. I tu mogę wskazać tylko jednego piłkarza. Po pierwsze z szacunku do jego umiejętności, po drugie z szacunku do jego postawy życiowej, a po trzecie – co chcę wyraźnie podkreślić, bo jest to czasem rzecz zapomniana – bo on też ma swój wyraźny udział w tym sukcesie. Włodek Lubański. Bez meczu z Anglią w Chorzowie, którego był bohaterem pozytywnym, a jednocześnie bohaterem własnego dramatu, nie byłoby awansu i nie byłoby medalu. I tylko takie wskazanie może być przez czytelnika uznane za wiarygodne, gdyż stawiam na zawodnika z tej samej epoki. Dlaczego miałbym wskazać kogoś innego, mając w tym czasie tak znakomitego, światowej klasy zawodnika na wyciągnięcie ręki?

***Dalibyście radę z Górskim tak ustawić drużynę, żeby zmieścić w niej jeszcze Lubańskiego?***

Jeżeli zagrilibyśmy trzema napastnikami, to dlaczego nie? To wiązałoby się ze znalezieniem innego sposobu gry w formacji ofensywnej, ale dziś nie możemy o tym dyskutować, bo dwóch ludzi, którzy odpowiadali za wygląd tamtej drużyny, nie ma już z nami. Mam na myśli Kazia

Deynę – którego namawiałem podczas naszego ostatniego spotkania w Danii, chwilę przed jego śmiercią, by wrócił do Polski i wszedł do mojego sztabu – oraz Kazia Górskiego.

### **„Kiedyś to były czasy...”, czyli czego obecna reprezentacja Polski może zazdrościć waszej ekipie z mundialu?**

W czasach socjalizmu liga zgodnie z ustaleniami miała przed meczem reprezentacji obowiązkową przerwę na dzień, dwanaście dni. Uznaliśmy, że jest to optymalny czas do przygotowań, gdyż jedenastego dnia zgrupowania zauważaliśmy już wśród zawodników kryzys psychiki i objawy zdenerwowania. Pojawiały się też pierwsze niesnaski na zgrupowaniach, więc po dwunastym dniu następował już powrót do matek, żon – czy narzeczonych, jeśli mówimy o kawalerach. I tego obecni selekcjonerzy mogą zazdrościć, bo nie mając dostatecznie dużo czasu, są w bardzo trudnym położeniu. Tym dwunastodniowym zgrupowaniem my wyrównywaliśmy dystans technologiczny dzielący nas od Zachodu, który przyjeżdżał na zgrupowanie w niedzielę po lidze, a już w środę grał z nami mecz. Adaś Nawałka ma na zgrupowaniu tylko trzy dni na mikrotreningi z drużyną – jednostka treningu rozpoznawczego, potem trening taktyczny, a na końcu rozbieganie. Dziś więc podstawą oceny przydatności do